

Adam Bodnar: W końcu musisz się określić. Nie ma co udawać



Janusz Schwertner
24 paź 2020

Od próby skrócenia kadencji I prezes Sądu Najwyższego i zabójstwa Pawła Adamowicza wszystko stało się czarno-białe. Albo jesteś po tej stronie, albo po tamtej. Już nie ma szarości - o swoich wyborach życiowych, o tym, dlaczego ważna jest dyscyplina i jak się żyje pod presją, opowiada rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

- Adam Bodnar nie szczędzi słów krytyki pod adresem polityków: - Zirytowały mnie ostatnie wybory prezydenckie i to, że jednym pociągnięciem zignorowano Konstytucję i dogadano się co do wymiany kandydata.

- Dostaje się zarówno rządzącym, jak i opozycji. - Nie jestem w stanie zaakceptować procesu legislacyjnego trwającego przez jeden-dwa dni w Sejmie. A tak się ostatnio stało w przypadku tzw. ustawy futerkowej – mówi.

- Opowiada też m.in. o swoich relacjach z politykami PiS. - Raz napisałem ministrowi Ziobrze odręcznie list i zapytałem, ileż można się prosić z każdą sprawą – wspomina.

- Jechałem na wywiad do „Rzeczpospolitej” i wtedy ukazał się artykuł na portalu TVP Info. A potem przybiegli do mnie z kamerami - tak pamięta moment, gdy TVP zaatakowała jego syna. Opowiada także, czym ma zamiar zająć się w najbliższej przyszłości.

Janusz Schwertner: Jakim byłeś człowiekiem w moim wieku?

Dr hab. Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich: Masz 28 lat? Poczekaj... czyli to był 2005 rok... Umarł papież wtedy...

...ja szedłem do pierwszej klasy gimnazjum...

...a ja pożegnałem już kancelarię prawniczą. Urodził mi się pierwszy syn. Finiszowałem z doktoratem i wdrażałem się jako wykładowca prawa. No i zaczynałem pracę w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Zmieniało się u mnie.

Rok wcześniej miałeś już drugą żonę, a w kancelarii zarabiałeś duże pieniądze.

Zawodowo szło mi nieźle. W 2004 r. domykałem prywatyzację PKO BP. Duża sprawa to była. Ale we wrześniu już wiedziałem, że odchodzę z kancelarii.

I że zaczynasz nowe życie?

Zależało mi, żeby pomagać ludziom. Nie chcę, żeby to brzmiało górnolotnie, ale jak się trafia do Fundacji Helsińskiej i zderza z osobami pokrzywdzonymi, przesiadującymi od wielu miesięcy w aresztach, z tym całym systemem przewlekłych postępowań, przypadkami dyskryminacji w różnych obszarach życia, to człowiek zaczyna inaczej patrzeć na wymiar sprawiedliwości.

Wcześniej zatraciłeś się w tej kancelarii?

To nie o to chodzi. Zacząłem widzieć coś innego: że jak będę tkwił nadal w tym samym miejscu, to będę wymienialny.

I to ci doskwierało?

Chciałem robić coś swojego. Tworzyć coś, co wynika z mojej osobowości, a nie z mojej funkcji usługowej. W kancelarii jest tak, że jeśli czegoś nie zrobisz, to zrobi to za ciebie inny prawnik. Jak przeprowadzasz transakcję wejścia spółki na giełdę, to możesz na rynku warszawskim wybrać jednego z dwudziestu fachowców. I każdy z nich, lepiej lub gorzej, to zadanie dla ciebie wykona.

Presja, że musisz w życiu osiągnąć coś dużego towarzyszyła ci od dziecka?

Myślę, że tak.

Pochodzisz z małej miejscowości. Gryfice, 20 tys. mieszkańców.

To mama zaszczerpiła we mnie chęć pójścia gdzieś dalej.

Mama zaczynała w PGR-ze.

Dokonała swojego skoku cywilizacyjnego przyjeżdżając do pracy z woj. świętokrzyskiego na tzw. Ziemię Odzyskaną. W domu była kształtowana potrzeba rozwijania się wraz z każdym kolejnym pokoleniem. Mama jako pierwsza zdobyła wyższe wykształcenie i zyskała pewien szacunek na poziomie lokalnym. Po przemianach pracowała w urzędzie statystycznym oraz jako rzeczoznawca majątkowy. We mnie kultywowała przeświadczenie, że wykształcenie to dopiero pierwszy krok.

W szkole byłeś kujonem?

Nie. Ale dobrze się uczyłem.

A samotnikiem?

Nigdy. Raczej widziałbym siebie w kategoriach ambitnego ucznia, który uczył się po to, żeby poznawać świat.

Czyli historie, że czułeś się załamany po każdej czwórce są przejawskrawione?

To inaczej było. Jak dostałem jakąś dwójkę, to był fejm na całe liceum. „Bodnar dostał dwójkę”, wszyscy o tym gadali. (śmiech)

A co zapisywałeś w kalendarzyku, w którym spisywałeś swój rytm dnia?

Różne rzeczy. Na przykład: „17:00: Teleexpress”.

Ale po co?

Kalendarzyk porządkował mi życie. Oczywiście jego największą część zajmowała szkoła. Miałem też trochę obowiązków w domu: obrać ziemniaki na obiad, posprzątać. Generalnie zapisywałem tam wszystkie swoje zajęcia. Dyscyplinowałem się.

Żelazna dyscyplina w dążeniu do celu definiuje twoją młodość?

W pewnym sensie. Ale nie było tak, że od początku miałem konkretną wizję. Wiedziałem tylko, że muszę pójść na studia. Wahalem się między medycyną a prawem. Chodziło o to, aby po studiach mieć konkretny zawód, który da poczucie bezpieczeństwa.

A czy zrobiłeś w młodości coś głupiego?

Szczerze? Papierosa w życiu nie zapaliłem. Najlepiej pod względem imprezowym wspominam w zasadzie tylko jeden rok życia – studia w Budapeszcie. Tam się bardzo ciężko pracowało, ale też dobrze integrowało.

Nie żałujesz, że nie poszłaś trochę?

Trudne pytanie...

Potem jako RPO jeździłeś po festiwalach, od Woodstocku po Openera i trochę odbijałeś sobie po latach. Sam widziałem, jak się gibałeś na koncertach.

Okej, skoro sięgasz tak do mojej psychiki... Myślę, że jest racja w tym, że przez większą część mojego życia byłem trochę spiętym gościem. Napinałem się. Jak się czegoś podejmowałem, to później z uporem dążyłem do realizacji zobowiązań czy konkretnych projektów. Moje późniejsze problemy prywatne mogły się brać z takiego podejścia.

Chyba etap rzeczywistej dojrzałości osiągnąłem dopiero, gdy głębiej zajrzałem w siebie. Gdy pojawiły się problemy, które pozwoliły mi inaczej na siebie spojrzeć. Pomogło mi w tym wiele osób, w tym nieodżałowany prof. Wiktor Osiatyński.

Traktowałeś życie jak projekt?

Było tak: idę na studia, a potem zaczynam pracę. Nie wchodziło w grę, że mógłbym te studia przerwać albo opóźnić, czy dać sobie luz. Nie, był konkret do zrealizowania. Nie wchodziło w grę, żeby zejść z obranej ścieżki.

Miałeś poczucie, że karierę zawodową musisz zrobić bez względu na koszty?

Zawsze sobie wyobrażałem, że wszystko można zrównoważyć. I że to może iść w pakiecie. Albo wręcz musi. Uważałem, że nie można mieć udanego życia zawodowego bez udanego życia rodzinnego. I tak myślę nadal. Dopiero potem wyszło, że niekoniecznie umiałem jedno z drugim pogodzić. Ale to jest cały czas wyzwanie.

Z czym ci się kojarzą lata 90.?

Z transformacją. Ojciec przeszedł na wcześniejszą emeryturę, podejmował się różnych zajęć, ale pewien świat mu się skończył. Poza tym — z bardzo intensywną pracą mojej mamy, która nauczyła się nowego zawodu. No i z próbą odnalezienia się w nowej rzeczywistości. Z momentami kryzysu.

A muzyki jakiej słuchałeś?

Depeche Mode. To był moment identyfikacyjny. Panowała dominacja stacji MTV, która kształtowała gusta muzyczne. Program III Polskiego Radia. Poezja śpiewana. Kaczmarski. Uczyłem się grać na gitarze. No i mocno zafascynowała mnie giełda papierów wartościowych.

Grałeś na giełdzie?

Namówiłem rodziców, żeby kupili akcje Exbudu. Pamiętam te pięć pierwszych spółek notowanych na giełdzie, ten cały klimat rodzącego się kapitalizmu...

Liczyłeś na szybki zarobek?

Wszyscy żyli w micie, że to będzie zawsze rosło. Na akcjach Banku Śląskiego w jeden dzień można było zrobić majątek. Był taki okres, że czytałem „Parkiet”, a wcześniej „Cash”. Czytałem książki o transformacji, dzieła Kuronia, Balcerowicza.

A jak później jako młody facet zarabiałeś 15 tys. zł na miesiąc, to szastałeś kasą?

Nie oszczędzałem. Jak w młodym wieku zarabiasz takie pieniądze i wydaje ci się, że pozjadałeś wszystkie rozumy, a w kancelarii utwierdzają cię w przekonaniu, że jesteś wybitny, że pracujesz nad superważnymi transakcjami, to odrobinę tracisz kontakt z rzeczywistością. Kazik śpiewał „Trzydzieste piętro w biurowcu szklanych drzwi”. Pracowałem akurat na 20-tym. Z tej perspektywy inaczej patrzy się na świat.

Jak powiedziałeś, że jedziesz studiować prawo do Warszawy, to w szkole jakie były reakcje?

Było u nas takie poczucie, że centrum świata jest gdzieś bardzo daleko od nas. Pewnie wielu z nas czuło się zaściankiem. Jak ktoś decydował się na studia w stolicy, to pojawiała się myśl: na zasadzie: próbujesz się brać za coś, co nie jest dla ciebie.

W pewnym momencie zdobyłeś wszystko, co chciałeś: świetną pracę i rodzinę.

Mówisz o kancelarii? To nie była świetna praca.

Zarabiałeś dobre pieniądze, miałeś 28 lat i świetlaną przyszłość. A w domu żonę. Mogłeś poczuć spokój, że wiele udało ci się osiągnąć.

Czułem, że to nie jest moje życie. Kiedy nie masz czasu na refleksję, na kontakt z ludźmi i ciągle pracujesz – a poza pracą wszystko przestaje się liczyć - to zaczynasz myśleć, jaki to ma sens.

Miałeś dość?

Miałem.

Przed kancelarią skosztowałeś też odrobiny polityki. Byłeś asystentem posła BBWR Leszka Chwata.

Za dużo powiedziane. Ledwie przyglądałem się polityce z dalekiej odległości. Mój jedyny związek z polityką był taki, że byłem asystentem posła, ale poza sprawdzaniem mu korespondencji i załatwianiem drobnych spraw, to niewiele robiłem.

Ale tliło się w tobie zainteresowanie polityką.

Na studiach współpracowałem także ze Stowarzyszeniem „Nigdy więcej”. Oni zabiegali wtedy, żeby wpisać do konstytucji artykuł o zakazie istnienia partii nazistowskich i faszystowskich. Chodziliśmy w tej sprawie po Sejmie. Był taki moment, że przez dwie godziny siedzieliśmy w gabinecie Jacka Kuronia. Dla mnie to było coś. Ciarki, w końcu to był sam Kuroń!

Ale „Nigdy więcej” to był bardziej świat idei niż rzeczywistej polityki. Kiedyś wysłali mnie do szkoły liderów społecznych i politycznych w Jachrance. Poznałem tam wiele świetnych osób. Z niektórymi z nich do dzisiaj mam kontakt. Ale byli też młodzi ludzie z młodzieżówek. Kompletnie mi nie podpasowali. Charakterologicznie zupełnie inny świat.

Wydawali ci się wszyscy tacy sami?

Nie czułem, że mogę do nich przynależeć.

Indywidualistą byłeś.

Może tak.

Więc świat polityki ci się nie podobał?

Niezbyt. Jak się widzi na czym polega bieżąca, codzienna polityka, że to nie są głębokie debaty o ideach i potrzebie zmieniania świata, to mit pryska.

Nie wciągnęły cię kancelaria ani polityka. W tamtych latach straciłeś też wiarę w Boga. Minęło wiele lat i brak wiary ci wypomniano - i tak oto zgrabnie przechodzimy do czasów współczesnych.

W Sejmie, w 2015 r., jak mnie przesłuchiwali na kandydata na RPO, pytali, czy jestem wierzący.

To nie był tylko kłopot dla PiS, ale też dla części polityków PO. Mało kto to dziś pamięta, ale w Senacie przeszedłeś różnicą głosów 41:39. O włos. Wcale nie byłeś bożyszczem Platformy.

Wcześniejsze głosowanie w Sejmie było jeszcze gorsze. Na mnie mocno postawiła Ewa Kopacz, a w Senacie Aleksander Pocię i Bogdan Borusewicz. Ostatecznie Platforma mnie poparła nie ze względu na wielką sympatię do mnie, bo tej rzeczywiście nie było, tylko na fali myślenia, że po odejściu Donalda Tuska [do Rady Europejskiej] trzeba pokazać społeczeństwu ducha liberalnego, obywatelskiego. I ja miałem być tego częścią.

Część PO widziała w tobie podobne zagrożenie co PiS?

Nie aż tak, ale nie wszyscy mieli tam do mnie zaufanie. To był czas głębokiej erozji funkcjonowania PO. Oni już jako klub senacki niespecjalnie się dogadywali, nie tworzyli monolitu. Akurat klócili się też o ustawę o korekcie płci czy o ustawę o in vitro. Poparli mnie, ale drżeli, co ja będę mówił w mediach.

Był taki moment, gdy udzieliłem wywiadu Ewie Siedleckiej, gdzie zaprezentowałem się jako propaństwowiec. Wtedy poczuli ulgę. Wcześniej niektórzy mieli stracha, co ten Bodnar sobą reprezentuje.

A potem pokochali cię, bo uznali za wygodnego.

Może to nie była kwestia wygody, tylko faktu, że wszyscy przeżywaliliśmy trudny okres przez te ostatnie pięć lat. W życiu bym się nie spodziewał, że będę miał na koniec kadencji wsparcie całej PO, Lewicy, PSL. Myślę, że mi zaufali, bo docenili rzetelną pracę.

Nie czułeś się nigdy przez opozycję wykorzystywany?

Bywały momenty, gdy opozycja traktowała urząd RPO na zasadzie pionka na politycznej planszy. Przy czym ja sam nie stroniłem od krytykowania Platformy. Zakazywanie Marszów Równości przez prezydentów z tego obozu do dziś jest dla mnie czymś nie do zaakceptowania.

Sprzeciwiałeś się temu.

No sorry, ale jak jesteś w partii wolnościowej, to nie robisz pewnych rzeczy z obawy o to, że spadnie na ciebie krytyka. A tak postąpił m.in. prezydent Krzysztof Żuk w Lublinie [w 2019 r. prezydent Lublina zakazał organizacji Marszu Równości, tłumacząc to względami bezpieczeństwa].

Zirykowały mnie też ostatnie wybory prezydenckie i to, że jednym pociągnięciem zignorowano konstytucję i dogadano się co do wymiany kandydata. Pozostawiono z boku Konstytucję i bierne prawa wyborcze. Wtedy okazało się, że Konstytucja także dla opozycji nie jest ponad wszystko. Nie jestem w stanie także zaakceptować procesu legislacyjnego trwającego przez 1-2 dni w Sejmie. A tak się ostatnio stało w przypadku tzw. ustawy futerkowej.

Niektórzy widzą twoją przyszłość w polityce. Co Adam Bodnar robiłby w partii, która przez chwilę była przeciwko uchodźcom?

Chodzi ci o słowa Grzegorza Schetyny. Tak, pamiętam je. Choć uczciwie trzeba zaznaczyć, że to Ewa Kopacz podjęła decyzję ws. przyjęcia uchodźców, za co jej partia zapłaciła potem wysoką cenę.

Bywały w tej kadencji takie momenty, gdy zostawałeś sam.

Wiele razy.

Na przykład gdy upominałeś się o prawa zatrzymanego w sprawie zabójstwa 10-letniej Kristiny.

Akurat z tamtego okresu pamiętam kilka odważnych głosów niespodziewanego wsparcia. Choćby ze strony Tomasza Terlikowskiego czy Piotra Zaremby.

To które momenty miałeś na myśli?

Powiem ci, co mnie zaskoczyło politycznie w ostatnim czasie. Była historia Margot i zatrzymanie 48 osób, rzecz absolutnie skandaliczna, wyrazista, ze scenami, jak policjanci zatrzymują przypadkowe osoby. Była reakcja polityków opozycji na posterunkach policji, ale zaskoczyło mnie, że następnego dnia wiodąca siła opozycyjna, będąca świeżo po kampanii nie była w stanie zaproponować niczego w obronie wartości. Bo bała się zmierzenia z tematem praw osób LGBT.

A co twoim zdaniem powinno się stać?

Powinien zostać zorganizowany marsz solidarności, a zamiast tego nadeszła kalkulacja polityczna. Mam wrażenie, że tej kalkulacji wśród opozycji jest za dużo, a za mało zwyczajnej codziennej walki o to, co dla ludzi jest ważne.

I to były te momenty, gdy nie czułem wsparcia. Gdy trzeba było apelować o warunki w więzieniach, o walkę z aresztami wydobywczymi, o prawa osób zamkniętych w ośrodku w Gostyninie, o ludzi bez powodu zatrzymywanych na ulicach. Polityka bywa powierzchowna, populistyczna, także po liberalno-lewicowej stronie.

Gdy kończyła się twoja kadencja, na twoje przemówienie nie przyszedł nikt z PiS-u i prawie nikt z opozycji.

Dla mnie ważniejszym dniem było wystąpienie w Senacie, dzień wcześniej, w czwartek. Tam wszystko wyszło bardzo dobrze...

Ale pytam o piątek i wystąpienie w Sejmie. Przemawiałeś do pustych ław, a zdjęcia z tego dnia obiegły internet.

Liczyłem na większą frekwencję. Ale jestem wdzięczny wszystkim tym, którzy przyszedli podziękować mi za pracę oraz zadali pytania.

Jakie to uczucie, gdy w takiej sytuacji sala jest całkiem pusta?

Nie biorę tego do siebie. W takich momentach myślę sobie o opozycji: słuchajcie, macie różne instrumenty w ręku jako parlamentarzyści i nawet jak one są wam podawane na tacy, to i tak nie potraficie ich użyć.

Inercja?

Parlament jest po to, by wykorzystać każdą szczelinę do pokazania swojego sprzeciwu. Można zabierać głos, być obecnym, robić transmisje na Twitterze, Instagramie, Facebooku. I tu mam żal. Bo lepszej okazji nie będą mieli do dyskusji o prawach człowieka. Po orędziu Morawieckiego będą o tym mówić? Czy po sprawozdaniu rocznym pani prezes Julii Przyłębskiej, która raczej nie zaszczyca Sejmu swoją obecnością? Marnowanie takich okazji mnie martwi.

Niektórzy pisali na Twitterze, że opozycja wobec ciebie zachowała się bezczelnie.

Nie wiem, czy „bezczelnie” to właściwe słowo. Ale rozumiem rozczarowanie ludzi tamtą sytuacją.

Rozmawialiśmy równo cztery lata temu. Przypominałem ci wtedy twoje marzenie sprzed lat: że chcesz zmieniać świat. Na ile ci się to udało?

Mam mniejszy wpływ na rzeczywistość, niż mi się wydawało.

W starciu o praworządność chyba po prostu brakowało ci narzędzi.

Brakowało ich wszystkim, którzy próbowali przeciwstawić się działaniom rządu. Ale pociesza mnie, że nasz wspólny upór czasowo powstrzymał najbardziej radykalne posunięcia rządu. Wyobraź sobie, co by było, gdyby w życie weszły pierwsze pomysły ministra Ziobry.

Mówisz o pierwszej ustawie o Sądzie Najwyższym.

Absolutnie wszyscy sędziowie mieli przejść w stan spoczynku, a Zbigniew Ziobro miał ręcznie wybierać ich następców.

To było porównywalne z próbą skrócenia kadencji I prezes SN, podjętą całkowicie wbrew zapisom Konstytucji.

Skrócenie kadencji I Prezes SN oraz odejście 20 sędziów ze względu na obniżenie wieku emerytalnego to był drugi pomysł na reformowanie SN. Zrealizowany, ale następnie cofnięty dzięki Trybunałowi Sprawiedliwości UE. Moim zdaniem sukcesem było zatem spowolnienie rządowej reformy sądownictwa, ponieważ dawało ono nadzieję obywatelom, że wymiar sprawiedliwości przetrwa. Sędziowie, którzy protestowali wciąż nimi są, poza sędziami Pawłem Juszczyszynem i Beatą Morawiec, którzy zostali zawieszani. Ale mam nadzieję, że jednak niedługo wrócą do orzekania.

No i mamy wciąż trzy niezależne izby SN, to też sukces. Mamy niezależne sądy administracyjne. To wszystko daje nadzieję. To może nie jest zmiana świata na lepszy, ale przynajmniej nie jesteśmy jeszcze Węgry.

Zapytałem cię cztery lata temu o momenty w pracy, gdy miewałeś łzy w oczach. Opowiedziałeś mi wtedy o zwykłych ludzkich historiach.

Teraz miałem łzy w oczach, jak oglądałem sceny związane z obroną Konstytucji i sądów. Protesty w lipcu 2017. Wprowadzenie przez obywateli I Prezes do Sądu Najwyższego 4 lipca 2018 r. Uchwała trzech izb (w styczniu 2020 r. trzy izby SN podjęły uchwałę, zgodnie z którą można podważać prawo do orzekania sędziów powołanych z udziałem upolitycznionej KRS - red.). To było coś nieprawdopodobnego. To było uczucie, że dotykasz historii.

Momenty graniczne.

Działa na mnie to, jak ludzie robią coś na poziomie bezsilności, ale z wielką godnością i odwagą.

Jak pytam o emocjonalne momenty, to teraz opowiadasz o wielkich wydarzeniach, a kiedyś były to spotkania z ludźmi w małych miejscowościach.

To nie były tylko wielkie wydarzenia – one zmieniały ustrój państwa. Ale mam przekonanie, że one nie przyćmiły tych mniejszych. Moi krytycy mogą atakować mnie za wszystko, ale nie za brak aktywności. Spotkań w terenie miałem setki. Nawet nie wiesz ile razy towarzyszyło temu wzruszenie z powodu ludzkiego zaangażowania, pasji i umiejętności przenoszenia gór.

W tej kadencji bywało też bardzo ostro. Miałeś momenty, gdy chciałeś odpuścić?

Czasem takie uczucie się pojawia, że masz ochotę zabrać głos, ale wiesz, że jak to zrobisz, to wywołasz wokół siebie kolejną burzę. A ty marzysz o spokojnym weekendzie.

I co wtedy?

Czasem mówisz sobie: może poczekam do nowego tygodnia. Taka strategia, żeby nie zwariować. Są chwile, gdy spokój i cisza są konieczne.

Kiedy po raz pierwszy miałeś dość wszystkiego?

Zirytował mnie pozew, jaki otrzymałem z TVP.

Telewizja pozwała cię po tym, gdy w programie "Onet Opinie" krytykowałeś jej postawę wobec zamordowanego Pawła Adamowicza.

Do dziś uważam, że my nie przerobiliśmy porządku i do końca śmierci Pawła Adamowicza. Najpierw była wielka żałoba ogólnonarodowa, a później natychmiast przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. A pozew TVP był absurdalny. Rzecznik praw obywatelskich, czyli urzędnik opłacany przez państwo i powołany do kontrolowania działań instytucji publicznych zostaje przez jedną z tych instytucji pozwany. Czegoś takiego jeszcze nie było.

Twoje zmagania z TVP na tym się nie skończyły.

Zabolał mnie atak po mojej wypowiedzi na temat Holocaustu. To mi uzmysłowilo, jak działa ta cała machina. Jak oni są w stanie wyjąć jedną wypowiedź z kontekstu i robić z człowieka potwora.

A jak przeżyłeś atak na swojego syna?

Mocno, ale nie chciałbym zbyt wiele o tym mówić.

Tego typu nagonki, jaka spotkała twojego 14-letniego syna ze strony TVP, doprowadzają do tragedii.

Tak, oczywiście.

Kiedy dowiedziałeś się o tym, że TVP zdecydowała się na ten atak?

Jechałem na wywiad do „Rzeczpospolitej” i wtedy ukazał się artykuł na portalu TVP Info. A potem przybiegli do mnie z kamerami.

W ciągu dziewięciu godzin portal TVP Info opublikował osiem artykułów o tobie o twoim synu. Miałeś ochotę trochę zniknąć i nie wystawiać się na strzały?

Przede wszystkim trzeba było zadbać o syna i przeczekać ten czas. A potem były wakacje, czas dla nas. Jak wróciłem do normalnej roboty, to psychicznie już to było za mną. Myślę, że na poziomie rodzinnym udało się także wiele naprawić i zapewnić bezpieczeństwo.

Cel publikacji był prosty: utemperować Bodnara. Udało się?

Nie.

A było myślenie: będę się bił mniej, żeby nie narażać bliskich?

Coś takiego zawsze się pojawia. Ale masz pewne obowiązki, zadania do wykonania, które wynikają z funkcji, jaką pełnisz. Musisz kontynuować wszczęte postępowania, jasno nazywać rzeczy po imieniu. Nie możesz tego nagle ograniczyć, bo się boisz.

A czy chciałbyś pogadać z ludźmi z TVP?

Mam tendencję do kasowania złych wspomnień bądź też staram się – nawet jeżeli mam złą opinię na czyjs temat – dostrzegać jakieś elementy dobra w każdej osobie.

Czyli z autorami tych publikacji byś pogadał?

Nie widzę takiej potrzeby. Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać. Ja zdaję sobie sprawę, na czym polega ta gra. Mój los nie jest inny od losu innych ofiar tej propagandy. Mechanizm sprawowania tej władzy polega na tym, że media publiczne są nasyłane na pewne grupy społeczne, a czasem na wybranych pojedynczych „wrogów”, takich jak ja. I ja wiem, że nie ma limitów, nie liczą się fakty, a jak się coś zdarzy, to nikt nie powie „przepraszam”.

Jak to świadczy o Jarosławie Kaczyńskim, że dał zielone światło na atakowanie rodzin swoich wrogów politycznych?

To jest struktura władzy jak w służbach specjalnych. Oglądałeś serial „Fauda”? Opowiada o armii izraelskiej, w której funkcjonuje specjalny oddział z licencją na zabijanie. Z uwzględnieniem wszystkich proporcji to podobnie może działać w TVP. Jest to licencja na realizowanie określonych celów politycznych przy użyciu wszystkich narzędzi propagandy.

Ale TVP nie funkcjonuje bez Kaczyńskiego.

Prezes po to stworzył tę telewizję i oddał mandat Jackowi Kurskiemu, żeby Jacek Kurski robił wszystko, co się da, aby zrealizować określony cel. I on nie ma limitu. Ma na to licencję.

A prezes nie brudzi sobie rąk.

Zamyka oczy. Wie, że tam jest brud, więc nie patrzy, ale oczekuje konkretnych rezultatów.

Dobra, zostawmy TVP. Jak stawałeś się coraz bardziej popularny, to zachłysnąłeś się sławą?

Nie wiem, czy można szczerze odpowiedzieć na takie pytanie. Jak powiem, że nie, to nie uwierzysz. Funkcjonowałem w określonej sytuacji i czasie, i to mogło powodować emocje wokół mnie. Ludzie czasem mnie rozpoznają, chcą przybić piątkę czy zamienić parę słów. To jest bardzo miłe. Ale po pierwsze: jest także ulotne. Po drugie: to wielkie zobowiązanie. A po trzecie, moja funkcja i tak sprowadza się do codziennej harówki.

Czy scenariusz odwołania cię z funkcji RPO był kiedykolwiek realny?

Myślę, że tak. Petycja Ordo Iuris z 2016 r. była realna. Ale wtedy zadziałało zainteresowanie niezależnością urzędu i to że nie byłem pierwszy na liście. Zawsze był inny priorytet. Zresztą po politycznym przejęciu TK straciłem najważniejszy instrument prawny, czyli możliwość kierowania wniosków do Trybunału. Mogłem to oczywiście robić, ale sukces był możliwy tylko w mniej ważnych, niepolitycznych sprawach. Czyli można było mnie marginalizować, bez wielkiej szkody dla własnych interesów politycznych.

A może PiS cię w końcu nie odwołał, bo nie chciał, żebyś urósł jeszcze bardziej?

Możliwe. Ale wątpię, to raczej nadbudowywanie teorii. Jeśli chodzi o Realpolitik to dla władzy kluczowy był Trybunał, media i prokuratura, a następnie uciszenie sądów. Mną się aż tak partia rządząca nie przejmowała.

Jaka jest prawda o twoich relacjach z PiS?

Ministerstwo Sprawiedliwości w którymś momencie ostentacyjnie nas ignorowało. To było trudne, bo dla nas to kluczowy partner w walce o prawa ludzi. Pisaliśmy pisma do Kancelarii Premiera, tam odsyłali je do ministerstwa, a w ministerstwie je ignorowali. Raz napisałem ministrowi Ziobrze odręcznie list i zapytałem, ileż można się prosić z każdą sprawą.

Z kimś z PiS miałeś dobre relacje?

Bardzo cenię braci Wojciechowskich. Są bardzo uczciwymi ludźmi. Gdy Janusz Wojciechowski został już komisarzem europejskim, to ciągle wracał do mnie ze sprawami zwykłych ludzi, którym obiecał pomoc.

A z kimś jeszcze się widywałeś?

Z Szumowskim, Gowinem... Tymi ludźmi raczej spoza głównego nurtu partii rządzącej.

Kiedyś PiS chciał ci skrócić kadencję, a teraz ci ją wydłuża.

Spodziewałbyś się?

Nigdy.

Dzień 10 sierpnia [wtedy mijał termin zgłaszania kandydatów na następcę Adama Bodnara] był dla mnie zabawny. Byliśmy w górach z moją żoną Magdą, sprawdzaliśmy, kto będzie zgłoszony na rzecznika, a została sama Zuza Rudzińska-Bluszcz. Okazało się, że partia rządząca nie wystawiła nikogo. W takich sytuacjach przypomina mi się Tomasz Lis, który mówił: „Na pewno panu skrócą tę kadencję?”.

Jak długo tu jeszcze będziesz sobie siedział?

Nie wiem. Ile trzeba. Prof. Andrzej Zoll mnie przeraził, jak powiedział w mediach, że to może trwać do końca kadencji parlamentu.

A realnie?

Od początku uważałem, że - licząc od sierpnia - to maksymalnie kilka miesięcy. Właśnie została odwołana rozprawa przed TK. Skutkiem ewentualnego wyroku byłoby zakończenie mojej kadencji. Liczę na to, że jednak następcą zostanie wybrany w normalny, zgodny z Konstytucją sposób.

Za 10 lat będziemy bardziej Węgrami czy krajem z dozwolonymi małżeństwami osób homoseksualnych?

To drugie, jeśli zostanie zmieniony art. 18 Konstytucji. Jeśli nie, to na pewno do tego czasu będą związki partnerskie. A jeśli chodzi o Węgry, to mamy wiele różnic. One dają nadzieję, że przetrwa w nas duch wolności i ta władza nie zdoła stworzyć tak trwałych mechanizmów niedemokratycznych jak Orban. Spójrzmy choćby na nasze samorządy lokalne, mateczniki demokracji o wysokim poziomie zaufania społecznego.

Polski rząd co jakiś czas natrafia na ścianę, gdy proponuje najbardziej radykalne rozwiązania.

Powiem ci, co jest naprawdę istotne. Do 2018 r. te wszystkie wprowadzane zmiany można było interpretować na zasadzie różnych odcieni szarości. Ludzie w różny sposób się na to orientowali. Niektórzy mówili, że władza przesadza, no ale reforma sądownictwa jest przecież potrzebna.

Jednak od próby skrócenia kadencji I prezes SN i zabójstwa Pawła Adamowicza wszystko stało się czarno-białe. Albo jesteś po tej stronie, albo po tej. Już nie ma szarości. Albo jesteś za integracją europejską, Konstytucją, praworządnością, ochroną mniejszości albo przeciwko.

Ktoś może powiedzieć: Bodnar nie chce trzymać kontaktu z drugą stroną. To nieprawda. Po prostu nie można pewnych rzeczy robić, nie zdradzając swoich ideałów. W pewnym momencie musisz się określić. Oczywiście mówię o poziomie ustrojowo-ideowym, bo to tu zrobiło się czarno-białe. Nie ma co udawać.

Czyli polaryzacja.

Stanie po stronie wartości. Ale nawet jak masz czarno-biały świat, to jak ktoś robi dobre rzeczy, to należy to chwalić. Jak wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik wprowadza przepisy chroniące prawa dzieci w postępowaniach transgranicznych, to należy temu przyklasnąć. Podobnie jak świetnemu programowi Dostępność Plus. Jednak patrząc z perspektywy systemowej: albo opowiadasz się za demokracją i systemem, w którym wszyscy konkurują ze sobą na równych zasadach, albo nie.

Twoja misja się kończy. Udało ci się osiągnąć coś dużego, tak jak sobie założyłeś.

Mam poczucie satysfakcji. Spełnienia.

A jesteś szczęśliwy?

Mam akurat najlepszy okres w życiu.

Prywatnie też?

Od momentu poznania Magdy w 2014 r. nie miałem lepszego czasu. Życiowo też dojrzewasz do tego, żeby spotkać osobę, z którą nadajesz na tej samej fali.

Przetrwaliście pięć mocnych lat.

Magda była dla mnie ogromnym wsparciem. Pytałeś o te momenty, gdy spadał hejt. Najlepszą opcją na odcięcie się był zawsze wspólny wyjazd, piwo kraftowe, pójście do kina.

Czekasz na taki dzień, że w końcu nie zerkasz w media, tylko wstajesz i możesz zająć się rodziną?

Tak. Chciałbym też ruszyć z moją pracą naukową. Więcej pisać. Wstać rano, pójść pobiegać, a potem przysiąść do pisania na osiem godzin. A po tych ośmiu godzinach móc posiedzieć z rodziną, obejrzeć mecz, wyjść do kina.

Piękna wizja. Myślisz o takim życiu z ekscytacją?

Tak. (śmiech)

A jakąś nową książkę napiszesz?

Tak. Chciałbym wybrać 12 osób, które w ostatnich latach ze względu na swoją funkcję zawodową ucierpiały i których doświadczyły rządy dobrej zmiany. Sędzia, prokurator, urzędnik państwowy, funkcjonariusz służb, dziennikarz mediów publicznych, dyplomata... chciałbym przedstawić sylwetkę danej osoby, krótko, a później dodać do każdego z tych zawodów esej prawno-polityczny, tłumaczący, dlaczego powinno nam zależeć na tym, żeby te wszystkie osoby mogły swobodnie pełnić swoje role, dlaczego silne państwo zależy od etosu służby sędziowskiej i urzędniczej.

A kiedy znów dopadnie cię presja?

Jaka presja?

Że pora znów na coś dużego. Bycie prezydentem albo komisarzem ds. praw człowieka, czy jaki tam jest ten Everest twoich marzeń.

A to ładny cytat jest, z Paktofoniki...

Przyjdzie pewnie czas, że za wszelką cenę będziesz chciał osiągnąć coś jeszcze większego niż do tej pory.

Może tak. Ale to nie jest presja. Ja mam naprawdę po tych pięciu latach poczucie odpowiedzialności za to, co robiłem, że dałem ludziom nadzieję, że można inaczej sprawować funkcje publiczne. Nie chciałbym tego zaprzepaścić.

Ale Adam Bodnar w partii politycznej to jest człowiek, który nie będzie umiał sobie patrzeć w lustro. Ty nie jesteś chętny na kompromisy w sprawach, które są dla ciebie czarno-białe.

Widzisz to wszystko w kategoriach życia partyjnego, a w dodatku przedstawiasz mnie jako solistę. A gdybym był takim solistą, to czy wyrosłaby obok mnie taka postać jak mec. Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, kapitalna kandydatka na nową RPO, z poparciem ponad tysiąca organizacji pozarządowych? Mam w biurze niezwykle talenty, udało nam się stworzyć fantastyczny team.

Chodzi mi o to, że jesteś wolnym duchem, nie pasujesz do partii, a politykę robi się w partiach.

Polityka jest dla mnie jedną z opcji. Drugą opcją to międzynarodowa działalność, na przykład na stanowisku komisarza ds. praw człowieka Rady Europy. Tylko trudno ubiegać się o tę funkcję bez poparcia własnego państwa. A trzecia możliwość, którą biorę pod uwagę, to zaawansowana kariera naukowa w stylu prof. Jerzego Hausnera. Najbliższe lata to będzie dla mnie refleksja nad tym, co dalej.

W 2016 r. przyszedł na świat twój trzeci syn. Miałeś okazję dobrze go poznać?

Tak.

Wrywałeś godziny z życia zawodowego?

Mamy bliskie relacje. Teraz ważny jest dla mnie czas pandemii. Siedzieliśmy w domu z Magdą i zajmowaliśmy się nim na zmianę. Ale już wcześniej miałem tak skonstruowany kalendarz, żebyśmy codziennie mieli czas na przynajmniej godzinny spacer.

Jaki jest twój własny prywatny rozrachunek z życiem?

Co masz na myśli?

Pytam o kompromis między życiem rodzinnym a zawodowym.

Moje życie prywatne nie było sukcesem, ale akurat od tych pięciu lat to się zmieniło. Magda mnie bardzo wzmocniła. Przede mną mniej szalony czas. Chcę się skupić na niej i na moich trzech synach. Dla mnie taki teraz czas nadchodzi.

<https://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/adam-bodnar-w-koncu-musisz-sie-okreslic-nie-ma-co-udawac/dt12qnk>